Szalony gniew wstrząsnął mną i dał mi siłę rozpaczy.

— Podły!... — wykrzyknęłam. — Więc to był twój cel?!.. to była twoja miłość!... O! dopiero teraz cię poznałam!...

Udało mi się wydrzeć z jego objęć na chwilę, ale już znowu wyciągał po mnie swoje męskie, silne ramiona... Ciemno robiło mi się przed oczami, czułam, że słabnę i że nie długo przestanę stawiać opór... Nienawidziłam samej siebie za tę słabość i nienawidziłam jego!... Ja, albo on!... Jedno musiało ulec!.. Ale ja nie chciałam, nie mogłam ulec!...

Spojrzenie moje padło nagle na sztylet i myśl szybsza niż błyskawica rozdarła mi mózg.. zabić go!... tak jak na to zasługuje!...

Zanim zdążył przejrzeć mój zamiar – pochwyciłam morderczą broń i pchnęłam go sztyletem w pierś... Cios był niezawodny..

Alicya przysłoniła rękami oczy. Na ławie świadków ozwał się głuchy jęk. Ten jęk wyrwał się z piersi nieszczęśliwej matki Roberta.

– To było dzieło jednej sekundy – ciągnęła dalej Alicya przyciszonym niego głosem. – Kiedy opadł na sofę martwy, uświadomiłam sobie, com uczyniła i przerażenie chwyciło mnie za włosy...

Ale tylko na chwilę... Sumienie moje nie chciało uznać winy... To była tylko konieczna obrona – obrona przed podstępnym rabusiem... I ja, która czułam się powołaną do wyższych zadań, postanowiłam ratować się..

Z łatwością – wszystkie drzwi były niezamknięte – wydostałam się niespostrzeżona przez nikogo na ulicę.. Tylko lampę zapomniałam zgasić...

Co dalej było wiecie panowie... I dopiero kiedy...

Urwała, wzmagając się z wzruszeniem.

– Kiedy dowiedziałam się od matki Roberta, że on uczciwe względem mnie miał zamiary i że tylko uniósł go chwilowy poryw namiętności, że zabiłam człowieka, który mnie kochał naprawdę.. Ta świadomość niemożliwą była do zniesienia... I dlatego stoję tu przed wami, panowie sędziowie, aby odpokutować za czyn przezemnie popełniony..

Przewodniczący z pewnem wahaniem spojrzał w kierunku prokuratora, a potem obrońcy:

– Wobec kompletnie wyjaśnionej sytuacyi, sądzę że zbytecznem będzie przesłuchiwanie świadków... Chyba, że panowie życzycie sobie..

Prokurator potrząsnął głową, adwokat Thompson podniósł się z miejsca, chcąc coś powiedzieć, ale zanim zdążył otworzyć usta — z ławy świadków powstała kobieta w grubej żałobie.

– Panie sędzio..

– Czego pani sobie życzy?...

– Jestem matką Roberta Macmorrisa. Proszę, aby mnie przesłuchano. Bo chcę złożyć świadectwo na korzyść z bólczyni mego syna..

Szmer zdumienia.. Prokurator, sądząc widocznie, że się przesłyszał, przyłożył rękę do ucha. Również i sędziowie przysięgli spoglądali po sobie ze zdziwieniem

– Co pani mówi? na korzyść oskarżonej? — zapytał przewodniczący.

— Tak! bo dopiero teraz, kiedy słyszałam wszystko, zrozumiałam dlaczego się ta straszna rzecz stała!... Nie ja ani Robert a przestępić należy, bo istotną winowajczynią jestem ja sama!...

Wszystkie spojrzenia skierowały się ku sędziwej kobiecie, oskarżającej samą siebie w tak zagadkowy sposób. Przewodniczący również spoglądał na nią ze zdziwieniem i niedowierzaniem.

– Proszę, niech pani wytłómaczy się jaśniej.

Przez chwilę drżały wargi staruszki, zaciśnięte niemym bólem, potem głębokie, ciężkie westchnienie podniosło jej pierś i zaczęła mówić głosem, który się załamywał:

– Przez pewien czas nie chciałam słyszeć o miłości syna mego dla miss Belmore... Uczucie jego, o którem mi w każdym wspominał liście uważałam za przemijającą namiętność. Przyznaję, że o artystkach scenicznych nie miałam zbyt dobrej opinii i nie życzyłam sobie wcale, aby Robert miał poślubić aktorkę choćby i najsławniejszą... Ale on oświadczył mi, że albo ożeni się z Alicyą Belmore, albo nie ożeni się wcale.. Listy stawały się coraz natarczywsze, przebijał z nich taki ogrom uczucia, że zaczęłam się lękać, aby moja nieustępliwość nie spowodowała nieszczęścia... I wtedy to chwyciłam się ostatniego środka, który obciąża dziś moje sumienie... Napisałam do syna list następującej treści: „Aktorka, której piękność oczarowała cię – z pewnością nie postępuje względem ciebie uczciwie. Tylko o twój majątek chodzi jej. Dlatego udaje miłość, dlatego upiera się przedewszystkiem przy małżeństwie. Tylko jako twoja — posiądzie w całej pełni prawa do twego majątku i dlatego postępuje tak, aby cię skłonić do poślubienia jej..

Jeżeli jednak mylę się, jeżeli ta kobieta szczerze i prawdziwie kocha cię, to nie będę stawiała oporu. Ale tylko w tym wypadku. Dlatego wystaw ją na próbę. Zanim wypowiesz stanowcze, wiążące słowo przekonaj się, czy ona rzeczywiście ciebie samego – a nie dla żadnych ubocznych celów kocha!... jak to zrobić – tego ci powiedzieć nie mogę, ale ty już znajdziesz sposoby i drogi, aby przekonać się o wartości jej uczucia.. Jeżeli przejdzie zwycięsko przez tę próbę, to znajdzie we mnie kochającą matkę, która związek wasz z całego serca pobłogosławi".

– Ach! wyrwał się okrzyk z piersi Alicyi – więc to miała być próba!... Co za nieszczęsny pomysł!... W taki sposób wystawiać moje uczucie na próbę!... tak przegrać szczęście nas obojga!...

Artystka przysłoniła oczy rękami.

– Mrs Macmorris — zapytał prokurator — kiedy pani wysłała ten list do syna?

— W końcu kwietnia.

– Zatem najpóźniej w połowie maja list musiał już być w ręku syna pani. A jednak — rzecz dziwna – listu tego nie znaleziono w mieszkaniu jego pomimo przeprowadzenia jak najskrupulatniejszej rewizyi.

– Zapewne syn mój przezornie list ten zaraz zniszczył, obawiając się, by kiedy nie wpadł przypadkowo w ręce narzeczonej...

Zawezwany komisarz Gray potwierdził to zeznanie. Wśród popiołów w piecu, pochodzących ze spalonych papierów, znaleziono szczątek listu z podpisem matki Roberta Macmorrisa.

Prokurator obstawał przy swem oskarżeniu i w przemówieniu udowadniał, że oskarżona spełniła czyn zbrodniczy z pełną świadomością i przez długi czas z całem wyrafinowaniem kryła swą winę, przez co cierpieli niewinni ludzie. Żądał więc od sędziów, aby działali w imię prawa, które jest i sprawiedliwe, ale i surowe.

Adwokat Thompson odpowiedział oskarżycielowi w słowach pełnych ognia i zapału. Zaznaczył, że Alicę Belmore należy w tym wypadku uważać raczej za nieszczęśliwą ofiarę, aniżeli za zbrodniarkę.

Po przemówieniu obrońcy sędziowie udali się na naradę, która trwała nadspodziewanie krótko. Zaraz potem ogłoszono wyrok. Alicya Belmore została uniewinnioną wszystkiemi dwunastu głosami.

---

Kiedy po ukończonej rozprawie Alicya Belmore opuszczała salę, — zbliżył się do niej Henryk Morton z siostrą.

— Jakże się cieszę – rzekła ze słodkim uśmiechem Molly – że to się tak dobrze skończyło.. A cieszyłabym się jeszcze mocniej, gdyby pani swoją obecnością zechciała uświetnić obrzęd moich zaręczyn z adwokatem Thomhsonem...

– Życzę pani szczęścia z całego serca! tak jak pani na to zasługuje!.. ale przybyć nie mogę...

– Pani mi odmawia? — rzekła smutnie Molly. — Dlaczego?

– Miss Alicyo.. – zaczął lekko drżącym głosem Henryk Morton – nie odtrącaj przyjaźni, która pragnie uprzorować ci drogę do szczęścia!..

Alicya potrząsnęła głową.

– Zapóźno!... Nema dla mnie szczęścia!... Sędziowie mnie uniewinnili, ale ja sama siebie oskarżam, a sumienie własne to nieubłagany sędzia!... Za winę – pokuta!..

— Sztuka!... ta ukochana przez panią sztuka pocieszy, ukoi...

— I sztuka już nie dla mnie..

– Pani opuszcza scenę?

– Tak! miejsce moje przy boku tej nieszczęśliwej staruszki, której będę się starała zastąpić utracone dziecko!... Panie Henryku! kochałam Roberta, zabiłam go, otoczę jego osieroconą matkę taką opieką, że on mi wybaczyć musi...

KONIEC.

H. G. WELLS.

# DZIWNA HISTORYA
## Ś. p. PANA ELVESHAMA

Tłumaczył L. Bodeński.

Spisuję to opowiadania nie w oczekiwaniu, że spotka się ono z wiarą, ale w tym celu, aby, o ile możności ocalić innego młodego człowieka przed mym losem. Może zdoła on osiągnąć tę korzyść z mojego nieszczęścia, że sam się przed podobnem uchroni. Wiem, że mój własny wypadek nie pozostawia nadziei i do pewnego stopnia jestem już pogodzony z losem.

Nazywam się Edward Jerzy Eden. Urodziłem się w Trentham, w hrabstwie Stafford, gdzie mój ojciec służył jako ogrodnik. Straciłem matkę mając trzy, a ojca mając pięć lat i wtedy mój wuj Jerzy Eden przyjął mię za swego syna. Był to kawaler, samouk, znany powszechnie w Birminghamie jako wybitny dziennikarz; dał mi ogólne wykształcenie, rozbudził moją ambicyę widokami powodzenia w świecie, a po śmierci, która nastąpiła przed czterema laty, zapisał mi cały swój majątek, wynoszący, po zapłaceniu wszystkich kosztów, około pięćset funtów. Miałem wówczas ośmnaście lat. W testamencie doradził mi, abym użył tych pieniędzy na dokończenie wykształcenia. Obrałem już zawód lekarza i dzięki pośmiertnej hojności wuja oraz powodzeniu w konkursie o stypendyum wstąpiłem na wydział medyczny Uniwersytetu w Londynie. W tym czasie, kiedy zaczyna się to opowiadanie mieszkałem przy ulicy Uniwersyteckiej pod numerem 11, w małym pokoiku na poddaszu, bardzo nędznie umeblowanym i pełnym przeciągów, z widokiem na tyły oficyn szkolnych. Ten mały pokoik stanowił całe moje mieszkanie, bo starałem się oszczędnością nadsztukować moje skromne dochody, aż do ostatniego szylinga.

Miałem właśnie iść do sklepu przy ulicy Tottenhamlourt, aby zanieść parę butów do naprawy, kiedy spotkałem po raz pierwszy małego staruszka z pożółkłą twarzą, z którym teraz moje życie jest nierozerwalnie splecione. Gdym otwierał bramę, stał na trotuarze, wpatrując się jakoś niezdecydowanie w numer domu na drzwiach. Oczy jego – były to szare, pozbawione blasku oczy, zaczerwienione pod powiekami – padły na moją twarz; natychmiast przybrał przyjacielski, trochę namaszczony wyraz twarzy.

– Zjawia się pan w samą porę – zaczął. – Zapomniałem numeru pańskiego domu. Dzień dobry panu, panie Eden!

Zdziwiło mię trochę jego poufałe obejście, bo jeszcze nigdy dotychczas nie widziałem tego człowieka na oczy. Przytem było mi nieco nieprzyjemnie, że spotkał mnie z butami pod pachą. Zauważył u mnie ten brak serdeczności.

– Dziwi się pan, kim u licha mogę być, co? Przyjacielem, o tem mogę pana zapewnić. Widywałem pana poprzednio, choć pan mnie nie widziałeś. Czy mógłbym gdzieś rozmówić się z panem?

Zawahałem się. Nie chciałem pokazywać nędzy swego pokoju pierwszemu lepszemu obcemu.

– Możemy się przejść ulicą — odparłem. – Na nieszczęście nie mogę pana prosić w tej chwili do siebie. — Mój gest wyjaśnił zdanie, zanim je wypowiedziałem.

– Właśnie to samo myślałem — rzekł, odwracając się najpierw w jedną, potem w drugą stronę. – Ulicą? W którą stronę pójdziemy?

Wsunąłem ukradkiem buty do sieni.

— Wie pan co? – wtrącił nagle. – Ten mój interes, to długa gadanina. Chodź pan ze mną na śniadanie. Jestem stary, bardzo stary i nie mógłbym panu wyjaśnić dobrze wszystkiego swoim cienkim głosem wśród turkotu wozów...

Położył przekonywująco swą chudą, drżącą nieco rękę na mojem ramieniu.

Nie byłem jeszcze w takim wieku, aby stary człowiek nie mógł mnie zaprosić ua niadanie. Zarazem jednak jakoś mi się nie podobało to niespodziane zaproszenie.

— Wolałbym... – zacząłem.

– Ale jabym nie wolał — przerwał, podchwytując. — A należy się chyba jakaś grzeczność moim siwym włosom.

(Ciąg dalszy nastąpi).